

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1844.

Poznań, dnia 24. Kwietnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydane jest rycina mąd paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Powinienby kto u nas poświęcić się napisaniu dzieła o wychowaniu, któreby obejmowało wszystkie wypadki otrzymane przez myślących w tym przedmiocie ludzi w czasach dzisiejszych. Podawszy ogólne wypadki, możnaby przystąpić do wykładu pojedynczych gałęzi wychowania. W ten sposób obrobiony przedmiot dotykając wychowania szkolnego i domowego; prowadzenia pierwotnego dzieci, którym rodzice niemogą odpowiedniej dać pomocy i t. d: wykształcałby pojęcia ogółu. Szereg prac tak ważnej poświęconych dziedzinie, powinienby szczególnie rozwijać praktyczną stronę wychowania, a tém najbardziej się ku upowszechnieniu zdrowego zapatrywania się na przedmiot przyczyniał. Dziś w wychowaniu mianowicie domowém, pierwotném, które jest podwaliną szkolnego wykształcenia, daje się czuć brak znajomości pedagogicznych, a ten najsmutniejsze wyradza skutki. Rodzice nie pomyślą o tém, że z córkami uczęszczającymi na pensye i z synami chodzącymi do szkół należy w domomém pożyciu postępować bardzo umiejętnie, aby tém obchodzeniem się dopełniać tego, co ledwie w części zdolne po za rodzinném ogniskiem dawane wychowanie, dla dziecka i ukształcenia jego charakteru zdziałać.

Może najbardziej uderzającym przykładem złych skutków nieprzemysłanego prowadzenia dzieci jest, z jednej strony, użycie niewłaściwych środków do poprawy błędów wieku młodego, a z drugiej strony sama mnogość tych błędów. Są dzieci, które dane im dla ubożego pieniądze, zachowają dla siebie. Czyż ten przebrzydły pociąg ku pieniądзом mógł o co innego wyrodzić, jak obchodzenie się niewłaściwe z dzie-

kiem i złe prowadzenie go? Są znów rodzice, którzy utrudniają jakby dobrowolnie, rozwijanie się dobrego kierunku w charakterze dziecka. Można spotkać matki, bijące dzieci swoje, można ojców spotkać karzących różgą dziecko, za to, że dało jałmużnę jakiemu biednemu starcowi, a nieopowiedziało się. W wielu domach polskich jest bezrozumny zwyczaj niedawania dzieciom za karę ulubionej potrawy, niedozwalania dziecku używania zabaw za karę i t. d. Z takiego prowadzenia dzieci, albo ich niedołączność, albo egoizm, i stąd, złe serce się wyradza; dziecię karcone za czyn dobry, staje się opryskliwem, zgryźliwem, później wyradza się w złego, albo w stępięnego na umyśle. Dziecię karane przez powstrzymywanie go od ulubionych zabaw, pokarmów, przez to bardziej się właśnie żądzom nieraz nagannym oddaje, staje się próżne, lekkomyślne, i za najwyższy cel życia uważać będzie swoją przyjemność.

W karaniu dzieci błędzą najsęścięj nasze matki. Gdyby się nieograniczały na czytaniu niedostatecznych dzieł Hoffmanowój, albo niemoralnego pisemka Ziemieckiej, lecz głębiej starały się zbadać ważny przedmiot, który winienby stanowić ich naukę wyłączną, poznałyby wkrótce, że błędy w dzieciach rodzą się z ich złego prowadzenia, przekonałyby się, że wszelkie karanie dzieci, a tém bardziej zalecane przez Chowanie (T. I. str. 712. itd.) plagi, nieużytecznością, niesprawiedliwością i barbarzyństwem są. Dziecko niewinno temu jeśli jest złém; skłonności złych niema wrodzonych, lecz jeśli charakter dziecka rozwijany jest wychowaniem fałszywie, bierze też kierunek fałszywy. Z tego można dziecko zbawić postępowaniem

odpowiedniem, ale nie karaniem, lub narażaniem dziecka na doświadczenia bolesne, jak doradza Chownanna, ucząc, aby dziecku podsuwać urwiszów namawiających do spisku i denuncjujących je potem (T. I. str. 653, 655, 688), a to, żeby je tym sposobem odzwyczajając. Jeśli w Chownannie brak zdrowego rozsądku mógł nienaprowadzić autora na sprostowanie zdań bezzasadnych, toczy je nasze matki same prostować mogły. Ale ileż to jest bądź bezwładnych umysłowo; bądź takich którymby zawiele czyniło zatrudnienia, myśleć serijo o dzieciach wuczyć się w ich charaktery, w ich skłonności, rozwijając ich istotę. Choć wiedzą, że źle jest dzieci na oślep prowadzić, wołają zaniechać je, ależbo inaczej nie miałyby do modnych wizyt, salonowych zabaw, rozmów o strojach i kuchni, dość czasu, niemogłyby rozerwać się ploteczką, romansem Suégo, Balzaka, lub niewinną grą w karty!

Stanisław Strawiński,

KONFEDERAT BARSKI.

(Ciąg dalszy.)

Już to dwa lata, jak Strawiński walczył w szeregach konfederacji, i pięć razy przedzierał się do Warszawy, zalanęj wojskiem wrogów, żeby choć na chwilę ujrzeć kochankę i jej luby obraz znów odświeżony w pamięci, ponieść wśród huku dział i krwi rozlewu, niby obraz anioła. Lecz przez ten czas rozłączenia tak się oboje spoufalili w myśli z sobą, jak gdyby się codziennie widywali, boć dusze, które się miłują, są połączone jakimś tajemnym łańcuchem, że mimo przestrzeni, kiedy jedną wstrząśnie uczucie, toczy się ono po pierścieniach łańcucha i wpada do drugiej. O! wtedy walka nadaremna, żeby myślą zapanować nad sercem — próżno się siłą i wyrządzają gwałtownie, nieraz nawet z oburzeniem obraz rozlany w duszy, bo ich żelazna w innych razach wola, tonie w uczuciu, jak kamień ciśnięty w strumień. Mimo całej gorącej miłości, mimo myśli, która krążyła w głowie, sercu i całej istocie Strawińskiego, „jak ja cię Kocham!” nie miał odwagi teraz tego wymówić — on, który zaglądał codzien śmierci w oczy, chwycił za szablę i biegł na armaty, jakby do tańca, — a w obliczu jednej kobiety został bojaźliwy. Ale ona była dla niego istotą nie ziemską, bo w jej twarzy zaświecił mu promień miłości, i padał na jego młodą duszę wstęgą błyskawicy. A on przejęty na wskroś tym uczuciem, pochylił się przed nim, jakby

przed głosem wołającym nań z nieba, i błagał przez spojrzanie o miłość, ale ustami tego wymówić nie zdołał.

Łukaski spoglądał na siedzącą parę i odgadł, co się w sercach działo. Zbliżył się więc do siostry, wziął ją za rękę, mówiąc:

— Nie potrzebuję ci pewnie Teklusi powiadać, jak cię pan Strawiński miłuje. Da Bóg doczekać po skończonej wojnie, prosił mię o twoją rękę, jako jedynego opiekuna. Cóż ty na to?

Z Tekli przepelnionego uczuciem serca łyzy się policach toczyły, spuściła jednak oczy i nic nie odrzekła, bo wyobrażenie wieku było: że pierwsze słowo miłości ma panna wyrzec przy ołtarzu, inaczej byłaby płochą; a przecież umiały się kochać, jak się to działo od początku i będzie dziać do końca świata.

— Kto milczy, ten pozwala — mówił dalej brat, ujął rękę dziewczyny, i oddał ją Strawińskiemu. Ten uściśnął, do drzących ust przyłożył, a pani Łukaska przeżegnawszy pierścionki, wsunęła zamienione kochankom na palce. Potem całowała Teklę, mówiąc ze łzami:

— Nie tak myślałam obchodzić twoje zrękowiny, bez kapłańskiego błogosławieństwa, bez przyjaciół, i pokryjomu przed światem, jakby jaką zbrodnię.

A kiedy Strawiński dziękował jej za przychyłność, zwróciła się do niego:

— Nie dziękuj mi waszmość, możem wam dała bogdankę na drogę śmierci.

— Choćby i tak było, to już umrę szczęśliwy z tą pamiątką na palcu — i miłośnie przycisnął do ust pierścionek z Matką Boską Częstochowską.

Tekla na myśl śmierci kochanka zdrzała i pobladła — ale pani Łukaskiej drobna twarzyczka i niebieskie oczy rozpromieniły się, i rzekła z lekkim wyrzutem:

— Zdrzałaś Teklusi! Czy chcesz, żeby pan Strawiński tu został, i nie wracał bronić całości Rzeczypospolitej?

— O niech mię Bóg od takiej myśli uchowa — odparła żywo dziewczyna, a Strawiński zawołał z zapalem:

— O! miłuję was po stokroć bardziej, że mię nie żałujecie dla dobra ojczyzny! Przysięgam wam, że imię, które macie nosić, przyniosę godne was, albo umrę z chwałą.

Ona za całą odpowiedź uśmiechnęła się mile z po za chmury łez, wyciągnawszy dłonie, które on ujął i do ust przycisnął, i lica kochanków czystym anielskim szczęściem teraz wybijały, a państwo Łukasky smutnie ku sobie spojrzeli, pomyślawszy: że to

jutro, wśród szabel nieprzyjacielskich, ma Strawiński akt detronizacji na zamku oddawać, że sobie tę miłość wyznają, stojąc prawie nad brzegiem grobu. I aby im tej chwili, kto wie czy nie ostatniej, nie mącić, odwróciła pani Łukaska twarz pełną bólu, a chcąc ją rozpogodzić, nachyliła się ku śpiącemu synkowi, złożyła pocałunek na jego różanych liczkach, oddała go mężowi — ten się z nim popieścił, z żoną kilka słów pogadał, a potem zwrócił się do kochanków, i mówił z żalem:

— Panie Stanisławie! i chwilki dłużej nie możemy zostać z temi, co nam droższe nad życie. Już dziewiąta blisko, patroli by nas pochwyciły.

Strawiński na te słowa jakby ze snu przebudzony, puścił rękę kochanki i natychmiast zabierał się do odejścia — znać sobie przypominał, co ma do spełnienia. Krótkie i w milczeniu było pożegnanie, jakby się każde wymówioném słówkiem obawiało zdradzić boleść duszy.

Konfederaci wysunęli się ostrożnie z domu i niepostrzeżeni wśród patroli moskiewskich dostali się pod klasztor Dominikański. Tylko w jednym oknie zakratowaném błyszczało małe światełko. Strawiński wspiął się na mur, i po trzykroć zadzwonił w szybę — światełko w izdebce zniknęło, a niedługo rygle u drzwi pobocznych trzasły. Przybyli weszli na kurytarz, i cichym głosem pozdrowili otwierającego, a potem w milczeniu i na palcach szli za przewodnikiem, który im przyświecał małą lampką, przyémioną szkaplerzem habitu. Wprowadził ich do szczupłej zakonnej celi, postawił lampkę na stoliku w środku izdebki, a ta oświeciła twarz dwudziestokilkoletniego mężczyzny. Na stole leżała czworograniasta czapka i dwa pistolety, snadnie więc odgadli, że to konfederat. Siedzący się podniósł, bystro spojrzął na przybyłych i ci na niego. Ale znać zajrzeli sobie do dna duszy, bo ich dłonie splotły się w jednej chwili, jakby na znak wiecznego przymierza.

— To pan Cybulski, a to pan Strawiński i Łukaski — rzekł zakonnik.

— Więc pan Cybulski przybył na wezwanie wasze ojcze Idzi? zapytał Strawiński.

— Bóg dopomoże waszemu przedsięwzięciu, kiedy na pierwsze spojrzenie ręce wasze się złączyły, jakby się zaślubiły ku wspólnej sprawie — nie wasza w tém była, ale Najwyższego wola. Mówcie więc bez obawy, śmiało, wszak wasze trzy prawice mają się od tej chwili stać jedną.

Goście i gospodarz zasiedli koło stołu, a Strawiński wyjął papier z za czamary i pokazał go Cybulskiemu, mówiąc:

— Jest to akt detronizacji Poniatowskiego; jutro przy dwóch świadkach mam go wręczyć na zamku. W panu Łukaskim mam jednego świadka, a was wzywam na drugiego.

— Całym sercem! całym sercem! odrzekł Cybulski, pogładził ciemny wąsik, rozgarnął długie włosy na obie strony czoła, i zapytał z ukontentowaniem: A więc jutro publicznie na zamku oznajmiemy, iż nie masz króla, nie masz tego ulubieńca carycy, a cała Rzeczpospolita radośnie za nami powtórzy. — I zbliżył swoje usta do twarzy Strawińskiego, i pocałował go serdecznym braterskim pocałunkiem.

— O! bodajby ta radość niebyła daremną! przerwał Łukaski. U prawych obywateli Poniatowski od dawna nie jest królem. Może on zaprotestuje przeciw temu aktowi gradem kul ze stu armat moskiewskich.

— Tém lepiej, to je weźmiem! — odparł z ogniem Strawiński.

— Słuchajcie! kończył dalej — jeżeli jutro mię pochwyć i te ramiona odpadną skrwawione na rozkaz Drewitza, niech mi nikt ran nie wiąże, niech się wszystka krew wytoczy na ojczystą ziemię, bo z każdej kropli zrodzą się nowi mściciele.

Po tych słowach nastąpiła chwila milczenia i święta zemsta rozpromieniła lica przytomnych.

— Czy nie winni śmierci ci, rzekł znów Strawiński — co z jednego kubka zapijają z wrogiem, aby w znowie z nim mordować własnych braci, lub wydierać im więcej nawet jak życie, bo wolność i wiary; a w nagrodę wyciągają w krwi rodaków zmaczane dłonie po złoto — na zbrudzonych piersiach rozwieszają błyskotki, i z pychą wpisują przy swoich nazwiskach hańbą nabyte tytuły, jakby na uraganie enocie.

— Śmierć im! zawołał Cybulski.

— Hańba im! rzekł Łukaski.

— Przekleństwo im! dodał ojciec Idzi.

— Ha! więc niech to najpierw spada na Poniatowskiego, a potem jemu podobnych! rzekł Strawiński groźnym głosem, a w jego oczach zabłysnęła jakaś dzika smętność. — Śmierć, hańba i przekleństwo im!

— Wszak Bóg rozsiewa miłość ogółu wśród każdego ludu, rzekł ojciec Idzi łagodnie — lecz prawe serca otwierają się tylko dla niej, niby kwiaty dla rosy niebieskiej, a napoiwszy się tym nektarem boskim, ze wstrętem odwracają się od samolubów tych płazów ziemi. Wiercie mi, jeżeli godzina kary już dla tych zdrajców narodu wybiła, nie unikną jej. Ale wy, wiary, wolności i ojczyzny obrońcy, nie kalajcie waszych czystych rąk podstępniem zabójstwem, bo waszą sprawiedliwą zemstę ubrawszy w zbrodnię, pokazaliby światu.

I znów nastąpiła chwila milczenia. Błado tlejąca lampka rzuciła półświatelka na twarze siedzących, a każda z nich wygrywała jasno uczucie duszy. Siwa głowa i posepność rozlana po zmarszczonym licu zakonnika, przy obok siedzącym Strawińskim, z rozplamionym obliczem, z okiem pałającym odwagą, była na podobieństwo bladego księżyca, kiedy go wschód słońca gasi. Łukaskiego głowa sparta na dłoni, zdawała się obciążona myślami nad siły, a na czole podgolonym wisiły chmury lekkiego smutku, ale w niebieskich oczach jaśniała rezygnacja i dobroć. Cybulski bystro spoglądał w Strawińskiego, jakby mówił: „co ty zrobisz, to ja też.“ Strawiński pierwszy przerwał milczenie, i mówił z goryczą:

— A więc mamy przytłumiać w sobie zemstę, i walczyć przelewać krew nadaremnie, kiedy nie zbrojny nieprzyjaciel, ale podłość własnych rodaków zabija naród. Oby kiedyś potomność nie rzuciła na nas największej wzdary, nazwawszy wszystkich dziś żyjących jednym imieniem — nikczemnych.

— Ale Bóg policzy wszystkie wasze zasługi — przerwał zakonnik.

Łukaski zdawał się zaspokojony tą uwagą ojca Idziego, ale nie dwaj młodszy konspiratorowie, bo Strawiński wstrząsnął głową, a Cybulski odrzekł nawet z lekkim ironicznym uśmiechem:

— Gdybym chciał Bogu tylko służyć a nie ojczyźnie, tobym rzucił w Wisłę te pistolety, a zawiesił paciorki za pas, jak wy ojeze!

Zakonnik podniósł się z miejsca, jego wiekiem pochylona postawa wzrosła, bo się wyprężyła giętkością młodzieńczą, a oczy błysnęły ogniem, nie jaśniejącą przyszłością, ale tlejącym wspomnieniem przeszłości i odparł z dumą:

— I moja szabla nieraz się poszczerbiła na karkach Szwedów, i ja umiem ratować Rzeczpospolitą, jak i waszmość panie Cybulski. Ale walcząc za ojczyznę i kochając ją, wiem, że służę tém samemu Bogu, bo się wyrzekam siebie, a poświęcam za drugih. Chociaż dziś tylko te kilka białych włosów zostało na stariej skroni, twarz pomarszczona, usta i dłonie składają się do modłów, jednak głos uciśnionej wolności nie rozlega się jak po kostnicy w moim sercu — bo i ono pod tą zakonną suknią nieraz zemstą zabije. Ale zemstę za krzywdy milionów, Bóg przyjmuje jako świętą i czystą ofiarę.

Jeszcze kilka godzin musiała się pomiędzy nimi toczyć rozmowa, bo ją dopiero przerwał głos dzwonnika, wzywającego zakonników na pacierze. Braciszek spieszył do chóru, a trzej pozostali uwinawszy się w delie, zasnęli po obozowemu na podłodze.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Powinność i poświęcenie.

Życ dla dobra spółbraci i narodu wyłącznie, im każdą chwilę czasu i myśl każdą poświęcać, wykształcać się ku pojęciu, co dla społeczeństwa jest dobrém i czynem narodowi służyć, a w każdym kroku życia domowego i stosunków prywatnych, jako mąż miłujący nadewszystko naród, jako czujący swą godność i cnotliwy, postępować; cierpieć za spółbraci, służyć im swém mieniem i życiem, jest to być cnotliwym, jest to pełnić swą powinność. Spełnianie jej polega na oddaniu zupełném siebie w uczuciu, myśli i czynie dla narodu; — spełnienie powinności jest więc zarazem poświęceniem siebie, a te dwa pojęcia zupełnie są jednoznaczne.

Jak normą każdego czynu człowieczego musi być wedle powyższego stopień w nim zawarty, spełnienia powinności czyli stopień zawartego w tym czynie poświęcenia, bo to wyraża o ile czyn jaki, dla dobra narodu i społeczeństwa podjęty, i wypełniony, a zatem wyraża, o ile jest cnotliwym i prawdziwie godnym człowieka, tak podobnież miarą istotną i normą wszelkiego społecznego stanu i wszelkiej zasady umysłowej jest stopień, wpływającego z nich dla narodu działania dobrego. Wedle tej zasady, równie sprawiedliwie wszystkie instytucje społeczne, formy rządu, przywileje urodzenia, majątku jak w różnych czasach wyrabiające się religijne pojęcia o Bogu, chrześcijaństwo dalej jego konary, katolicyzm, protestantyzm ocenić możemy, i takie ocenianie, doprowadza najsnadniej jeszcze niewyrobione umysły do pojęć na równi z czasem będących. Każdy bowiem najsnadniej przyzna, że każdy czyn, instytucja, zasada, tym lepszą i cnotliwszą jest, im dla większej masy, więc im bardziej dla narodu dobre sprawia, każdy przyzna, że żadna powaga, niezdolna jest narzucić człowiekowi przekonania, że godziwie lub nie podle jest żyć, nie cnotliwie i zasad mniej cnotliwych się trzymać, gdy więcej cnotę rozwijające są znane. Spełnienie powinności człowieka, czyli poświęcenie siebie dla narodu i społeczeństwa, ta prawdziwa cnota, jest zarazem najwyższém szczęściem. O czyż niedrga wasze serce na myśl samą jak miło, jak rozkosznie jest cierpieć, i męczeństwa znosić, i dnia, i słońca niewidzieć, ani błękitu niebios, tego dusz czystych odblasku, ani powietrzem wiosenném nieodetchnąć, powietrzem tym himnem przyrody, nuconym z świętej miłości, ku rodzajowi ludzkiemu, przez budzącą się ze śmierci ziemię, i jakie szczęście krwią się broczyć własną, byle choć najmniej dla spółbraci zdziałać! O czyżbyście nieczuć mieli, tego

szcześćcia nad wszystkie szczęścia, tój jedynej prawdziwej roskoszy! Niechaj powie ktokolwiek wytrwał męczeństwo, niejest że w bólu za braci, najwyższe szczęście? niech powie ktokolwiek dobrze uczynił, z ujmą sobie, czyż niedoznał w czynie swym najwyższej roskoszy? A tak, nietylko powinność ale i miłość siebie zrozumiana prawdziwie, i żąda osiągnięcia szczęścia, rozkazuje wszystko poświęcać dla dobra spółbraci, ich tylko kochać, dla nich tylko żyć im myśli wszystkie poświęcać, każdy czyn ku ich dobru kierować! Zrozumiana zupełnie miłość siebie jest miłością ogółu, narodu, społeczeństwa, bo i filozofija doszła do tego wypadku, że człowiek przychodzi dopiero wtenczas do samowiedzy, kiedy siebie w ogóle, a ogół w sobie uznaje, kiedy swego ducha równym uznaje i identycznym z duchem ogółu człowieczeństwa, a tak kiedy jest w nim miłość siebie i miłość społeczeństwa jedną i tą samą spółbraci miłością.

Nieidzie zatem jednak bynajmniej, aby ktoś tylko dla osiągnięcia szczęścia przez cierpienie dla narodu i społeczeństwa, chciał i mógł ukochać ogół, naród, owszém taki będzie zawsze podłym samolubem i siebie prawdziwie nieukocha, gdy przeciwnie ów który w miłości narodu, i w życiu dla niego, siebie zapomni, siebie poświęci, ten który swoją świętą spełni powinność, ten jedynie podniósł do prawdy miłość ku sobie samemu, bo się w całość narodu rozlał.

Niewszystkie czasy jednak mogły pojmować, identyczność powinności i poświęcenia, niewszystkie czasy mogły w takim zakresie każde z pojęć tych wyrobić sobie; i dziś jeszcze wielu po za czasem pozostaje, niewzbijając się do takiego pojęcia. Wyrabianie się pojmowania powinności, różne w ludzkości przechodzić musiało stanowiska, a zawsze odpowiednie rozwijaniu się świadomości człowieka, więc fenomenologicznym stopniom rozwoju ducha, pojmowanie powinności, będąc pojęciem stosunku jednostki do ogółu, uprzedmiotowiało się w dziejach i uoznaczało ich istotę, która jest właśnie pojawianiem się w postępowym procesie form uspołecznienia, rozwijającego się ciągle stosunku jednostki do ogółu.

Duch przychodząc do świadomości, trzy główne stanowiska przebiega, świadomości bezpośredniej czyli zmysłowej pewności, świadomości podmiotowej, subiektywnej, i samowiedzy, jako upośredniczonej wyrobionej pełni świadomości, gdy świadomość podmiotowa jest upośredniczającą się, czyli wyrabiającą świadomością. Odbite w ustroju życia społecznego te trzy stanowiska świadomości, wydają trzy okresy odrębne żywota społecznego. Pierwszy bezpośredni,

nie przychodzi do wyróżnienia, jednostki od ogółu, jednostka jest zrównana z ogółem, ale bezpośrednio, dla tego człowiek, nieodróżnia miłości siebie, egoizmu, od miłości narodu, własności niema żadnej, a wszystko w posiadanie zagarnia co napotka, powinności żadnej nieuczyna, a w formę społeczną wszedłszy, teokratyzm zupełny, to jest uznanie jednostki teokraty, za nieograniczonego pana, tak myśli, jak życia i ciała, każdego z członków społeczeństwa, zrzeszcza.

W drugim momencie społecznym, wyróżnia już jednostkę od ogółu, stawia ją na przeciw tego, i subiektywnemu świadomości stanowisku odpowiadając, wywyższa samowolę jednostki, ztąd pojedynczy człowiek przychodzi do własności, powinnością być mieni staranie się o dobro swoje, egoizm stawia na przeciw prawdziwej powinności jemu zupełnie ulega, samowolę w pojęciu wolności, niesprawiedliwość w idei prawa, a uspołecznienie ciemnienia społeczeństwa i eksploataowania go przez mniejszość narodu zrzeszcza.

W trzecim momencie wreszcie przychodząc społeczeństwo do samowładzy, we wszystkiém zrzeszcza, powinność w obliczu której ginie egoizm, a której treścią jest bezwzględna cnota, czyli przełanie się człowieka pojedynczego, w absolutną, bezwzględną miłość narodu i społeczeństwa.

Rozwijając bliżej kategorie wskazane, prawdziwie wykazać pojęcia egoizmu i powinności jako jedni z poświęceniem i wyobrażenia, różnych czasów o nich wysnuć można. Egoizm ukaże nam się jako moment samowoli w pojmowaniu powinności, a poświęcenie ujrzymy jako moment prawdy pojęcia powinności, przeciwstawiony tój egoizmu samowoli.

Autor artykułu „Miłość własna i poświęcenie,“ chciał wysnuć wyobrażenie (*Vorstellung*) tych dwóch żywiołów, i rozprowadzić je w poznaki życia. Założenie swoje wypełnił, więcej żądać od niego nie mamy prawa, boć wie już cała Europa, że zarzuty autorom czynione, że sobie to, a nie inne założenie obrali, iż temu nie zaś innemu oddają się przedmiotowi są bezmyślne.

Autor artykułu pod tą nazwą w Tygodniku literackim (Ner 5. z r. b.) zamieszczonego, zamierzył sobie pojęcie egoizmu „Miłości własnej“ i poświęcenia wysnuć, wypowiedziawszy i na niewzruszonej podstawie, bo na umiejętnie niezawodnej tak ugruntowanej jak np. każda z części matematyki, fenomenologii ducha uzasadniwszy widzenie bezwzględne tych pojęć, ocenmy pracę wspomnianą według założenia samego autora.

A naprzód kilka słów o krytyce. Ta według pojęcia naszego jest wykazaniem, jakie stanowisko zajmuje przedmiot opracowany przez ocenianego autora względnie do umiejętności społecznych, więc jaka tego ważność, dalej jest wykazaniem, jakie zajmuje oceniany autor stanowisko stosunkowo, do pojęć czasowych o jego przedmiocie, czy i w czém, równiej pojęciom czasu, wyższy lub niższy od nich. Wreszcie jest krytyka wykazaniem, o ile autor ze swojemi zasadami i z sobą samym jest konsekwentnym. Od krytyki wyróżnić musimy pojęcie polemiki i przeglądu, czyli sprawozdanie z dzieła, w którym to razie, nieoceniając rzeczy jak tylko bardzo ogólnie, podaje się najtreściwiej rzecz zawartą, w dziele ocenianém. Przedmiot obrany przez naszego autora, będąc wprost społecznym, jest żywo-tnie ważnym, dla tego pod dwoma innemi względami jego pracę oceniamy, nie polemiką się zabawiając lecz wysnuciem pojęcia rzeczy.

I tak jakież jest stanowisko autora artykułu w Tygodniku lit. „Miłość własna i poświęcenie?” Oto niedochodzące wcale do pojęć czasu, bo z kilku francuzkich, już dawniejszych, już dzisiejszych pisarzy, wykroił autor porozrywane i całości nieprzedstawiające rzuty, przetkał je kilku rzutami uchwyconemi z Hegla, i w prawdziwym eklektycznym przedstawił odmgęcie. Gdzie niema wewnętrznego organizmu może być jakie stanowisko?

Autor (Tyg. Ner 5. str. 36.) identyfikuje instynkt zachowawczy z egoizmem (czyli jak się wyraża z „Miłością własną“), gdy egoizm „Miłość własna“ będąc momentem samowoli, w pojmowaniu względem powinności jest żądzą czynienia sobie dobrze, nie zaś instynktem zachowawczym. Autor uważa dalej stan natury (dzikości), za pole działania „Miłości własnej“, najciaśniejszą pojętą gdy w tym stanie, egoizm i powinność, nie są całkiem przez człowieka wyróżnione, zaczem stan taki jest polem rozwijania się samej bezpośredniości człowieka nie zaś jego egoizmu lub powinności, pojętych nisko.

Autor (str. 37.) przechodzi do odpostaciowania się człowieka w ideale, czyli w wyobrażaniu sobie Boga, i tu stojąc na wyżynie dzisiejszej filozofii, nagle znów, w pojęciu chrześcijaństwa z niej zstępuje, fałszywie tłumaczy zasadę miłość własna powinna być w harmonii z miłością ogółu, przez zasadę praktyczną kochaj bliźniego jak siebie samego, gdy przecież widocznie ta zasada znaczy; oddaj nawet siebie dla ogółu; — i bardzo słusznie zawnioskowawszy, że miłość własna i miłość ogółu nie mają być rozdzielone, przychodzi do niekonsekwentne-

go z tą zasadą wniosku, że egoizm¹⁾ jest niższym miłości ogółu momentem, że oba się w miłości prawdy jednoczą. Miłość własna egoizm, miłość ogółu poświęcenie, miłość prawdy zaś według autora, ich jednię — prawdę wyradza.²⁾ Miłość własna rodzi prawa czynienia, co się komu chce; miłość ogółu rodzi uznanie obowiązków; miłość prawdy rodzi (ciągle według autora) sumienie, to jest zasadę postępowania w każdej okoliczności — zkaż praktyczną wyprowadza zasadę (str. 38.): Człowiek powinien pełnić obowiązki swoje o tyle, o ile własnym prawem nieubliża — i człowiek powinien o tyle praw swoich pilnować, o ile nie przekroczy swoich obowiązków.³⁾

Całe to rozumowanie w swój istocie jest fałszywe, bo prawdą i miłością prawdy nie innego być nie może i nie jest, jeno miłość ogółu, miłość narodu — prawdą wypełnienie powinności i poświęcenie są identyczne, a sumienie musi koniecznie prowadzić do wypełnienia powinności, inaczej nie byłoby sumieniem. Odróżnienie miłości prawdy i miłości ogółu, jest zupełnie błędne; prawda jest ogółem, ogół (społeczeństwo, naród) prawdą, a domieszanie do miłości ogółu egoizmu, jest bezpotrzebnym i chromym eklektyzmem — tak samo ograniczenie spełniania powinności prawami swojemi, jako ścieśniające zakres działania dla dobra narodu, społeczeństwa, ogółu słowem, jest niezgodnym z pojęciem powinności i cnoty, a jako takie będąc fałszywe, upada samo z siebie; a jest nadto zupełnie niekonsekwentnym ze słusznym obok stawionym samegoż autora żądaniem, aby — prawa człowieka ograniczone powinnością były.

(Dokończenie nastąpi).

Ojciec Marek.

(Dokończenie.)

Nakoniec w sprawie Bożej walczy Kossakowski słu-żalec szatana. O nim to mówi x. Marek

A to służalec szatański
Człowiek mordu i grabieży

1) Zawsze według słów autora „Miłość własna.“

2) Za przykład poświęcenia autor (str. 37.) przytacza dręczącego się bramina, lecz to chyba na żarty — bo poświęceniem jest poświęcenie siebie dla dobra ogółu, co autor przyznaje, w miłości ku ogółowi początek poświęcenia nazywając, a cóż ogółowi z dręczenia się bramina przyjąć może? — Na żart też autor poświęcenie przywilejem ducha nazywa, jakby spełnienie powinności być mogło przywilejem?

3) Autor prawi jeszcze, że nikt po nas poświęcenia nie żąda, co jest fałszywem; bo winniśmy spełniać powinność naszą, a tu jest poświęcenie siebie dla narodu. Dalej ślicznie wywodzi, że powinnością jest ginać za spółbraci — dopełnić obowiązków, — ale od powinności chce wyróżnić poświęcenie, jednak zbyt niejasno i treściwie, tak, iż rzeczywiście ciężko wiedzieć, czego pragnie.

Gwałtownik, i pijanica,
Pusty, jak djabła kaplica,
Krzykiem, jak wojna kokosza
Złodziej publicznego grosza,
Obdzierca domów, kapituł,
Chodząca jakaś szkarada!

— — — — —
Nawet nie człowiek! bo oto
Leży jego jeden brat
Z którego krew szczerozłotą
Tak czystą, młodą, rumianą,
Ojczyźnie ofiarowaną,
Ten człowiek wytoczył z serca.

Dobitniej jeszcze określa go Judyta, której ojca rabiną złupił i zamordować kazał, a na hańbę jej samej nastawał.

..... Nie do razu
Ja to zgadła i wiedziała,
Że się to przed Bogiem wyda.
Ty okradł i zabił żyda,
I z jego martwego ciała
Zostawił posag żydówce;
A sam poprowadził hufce,
Jak wiatr co się w polu miota,
Jako Polak patriota,
Jako rycerz krwią czerwony,
Jak pan wielki oświecony,
Jak twój ojczyzny dobrodziej,
Choć ty zabójca i złodziej
Brzeczysz od mojego złota;

Zda się, że poeta na ten kontrast wyzwalającego się narodu a uciemniającego żydów pokolenie, największy położył akcent, gdy go w następnym obrazie tak odmalował:

(słucha grzotom dział z pola bitwy)

Nu — tam teraz u moskala
Wielki strach Chrystusa Pana.
Xiądz wziął krzyże, zdjął ornaty,
Duchem rozrywa harmaty;
I w białym świeci habicie,
I krwi mu aż po kolana.
A ja tu, żydowskie dziecię,
Sierota w waszej krainie,
Siedzę przy trupiej drabinie,
Przy wietrze, co wieje od trupa:
A podemną popiołów kupa,
A na mnie wór podły, szary;
A ja podobna do mary
Z twarzą bielszą od miesiaca,
Z zabójcą rozmawiająca,
Z szczęścia, jak kwiat oberwana
W żałości jak obłąkana
A we śnie łzami zalana,
A w strachu — jak wiedźma blada,
A zemstą — w niebo porwana,
A w przekleństwach jak piorun co spada.

(w najwyszej exaltacji przy odgłosie dział)

Nu — więc teraz ja się zrywam,
I o ściany tłukę głową.

Ja przekleństwem się nazywam
I nazywam się zagubą,
Krwia i burzą rabinową,
Wichrem, deszczem, nocą grubą
Duchem, gwiazdą, trumną, twogą!
Bo w tém sercu są wichrzyce
Co was i rozerwać mogą!
Nu! bo w duchu błyskawice,
Co świat cały mogą spalić!
Bo oto ja tchnęła na pole,
I chorągwie zaczęły się walić,
I wasz duch leży na dole
Podobny węzowej chmurze;
A ja tu stoję na górze,
I podnoszę zemsty ramię!
I nogami go depcę i łamię!
I odpędzam precz z pola do miasta!
(strzały armatnie ustają nagle).

Otóż powody w dramacie samym wytknięte, dla czego rozpoczęte wyzwolenie ducha, udać się jeszcze nie mogło. W tém też leży cała tragiczność dramatu. Atoli to zwycięstwo złego, jest tylko zwycięstwem materii nad materią, siły nad siłą. Nad duchem, nad przyszłością, żadno złe tryumfu odnieść nie mogło: regimentarz powiada w manifestie swoim

A tam, gdzie matka rycerzy,
Choć w grobie, w grób nie uwierzy,
Jest miejsce wieczne zmartwychwstań! —
Jest duch, co z grobu wyrwa —
To miejsce Bar się nazywa.
Tu my rycerze bez plamy,
Z odkrytą przed Bogiem głową,
Pod chorągwią Jezusową
Za kraj nasz poumieramy:
Zatknąwszy wieczne sztandary,
Dla miłości prawdy i wiary.

A x. Marek proroczym duchem wyrzeka

Ja xiądz prosty, powiem Tobie
Że tu leży Polska w żłobie,
Lecz Polska, nie tego wieku!
Żywa — nie przez nasze czyny!

Zaś Braneckiemu, co mu grozi śmiercią odpowiada:

Cokolwiek w twoim rozumie
Ułożysz, to nie pomoże.
Bo ja tu ciało położe
Pierwsze, dla kraju i wiary.
I mój kopiec, jak sztandary
Będzie trwał — aż wiek przeminie;
Aż ludzie z jasnemi skroniami
Pokażą się w tej krainie
Wchodząc ducha mego bramą.
Więc nie porwiesz mię ztąd końmi!
Ani nawet śmiercią samą!
Mój duch wiecznie tu i ciało,
Przyszłego kościoła skałą.

Tak się przedstawia całość dramatu Jul. Sł. Nie dramat to historyczny, ale czysto duchowy. Duch dziejowy nie działa tu jako duch ludzki, i dla tego

autorowi nie potrzeba było wielkich charakterów historycznych, ale zda się, że duch ten zstąpił sam na ziemię, widoczny natchnieniem pierwszego lepszego człowieka, i występujący do walki na zwalczenie złego tego świata, i utworzenie na jego gruzach, nowój wielkiej przyszłości dla ludu, a przezeń dla ludzkości. Z tego stanowiska uważany, ma dramat ten, pod względem sztuki wysoką swoją wartość. Jako słabą jego stronę uważałbym ową, że tak powiem, kallidoskopiczność rzeczy i obrazów, cechującą wszystkie dramatyczne utwory Śl. Rozrzucone są przedmioty jakby w pojedyncze osobne różnobarwne kamyczki, które się dopiero w perspektywie ducha, potrącone siłą wyobraźni, w jeden obraz składają. Ztąd pochodzi, że w dramatach Śl. jedni tej jedności obrazu całkiem nie widzą, inni inne obrazy sobie składają.

L.

ROZMAITOŚCI.

W tych dniach zdarzył się w Paryżu dziwny przypadek, który wywoła niezawodnie nowy sąd Salomona. Wiadomą jest rzeczą, że wiele dzieci bywa oddawanych z Paryża na wieś na wykarmienie. Ośm kobiet ze wsi odebrało w tym celu dzieci, a wracając z miasta, wstąpiły do domu gościnnego na wypoczynek. Tu pokładły swe dzieci na bilard. Tymczasem, kiedy jedzą sobie w przybocznym pokoju, przybywa dwóch gości, a chcąc pograć w bilard, zdejmują dzieci w jednakowe uwiązane poduszki i równo ubrane, i kładą na łóżko obok stojące. W tém kobiety wracają, a widząc dzieci swe pomieszane i nie mogąc jedno od drugich odróżnić, dzielą się jak mogą na chybi trafi. Stać się przeto łatwo może, że rodzice dawszy córkę do wykarmienia, odbiorą syna, a przynajmniej nie własne otrzymają dziecko, a kto wie, może ztąd nowy sąd Salomona powstanie.

Taniec zwany „Polka“, o którym uprzednio wspomnieliśmy, daje powód do nowego sposobu mówienia w świecie modnym paryzkim, i tak: tańczyć „Polkę“ nazywają nowym wyrazem „polker“ i mówią: je polke, tu polkes itd. — Tańczący „polkę“ nazywa się polkeur lub polkiste, a kłamstwa dawniej nazywane canards, dziś odebrały nazwę polkas albo polkinets.

M O D Y.

Paryż, dnia 15. Kwietnia 1844.

Dotąd spór się toczy, czyli szale długie lub mantylle otrzymają pierwszeństwo. Widzieliśmy piękne

male mantylle z poux de soie, z muślinu indyjskiego, haftowane, orzucone koronkami i podszyte taftą przejrzystą. Oprócz tych odznaczały się mantylle całe z koronek czarnych, nowym krojem robione, i ztąd wnosić wypada, że nie tak łatwo będzie zapomnieć o mantyllach. Równie polecają się nadzwyczaj piękne szale. Kształt ich cokolwiek przez to zmieniono, iż na ramionach znajdują się dwa głębokie wcięcia, przez co szal nabiera kształtu podobnego do kołnierza i szerokich wyłogów na piersiach. Nie zbywa temu kształtowi na pewnym powabie. Robią także szale z poux de soie, podszywają jaskrawo, i orzucają je krepą. Lecz i inne odmiany znachodzimy; orzucają je w najrozmaitszy sposób, nad wszystkie przecie pstrocizny przenosimy kaszemiry w palmy, chińskie hafty na jedwabiu i ciężkie tkaniny lugduńskie, lub też długie szale z czarnych koronek.

Nowe wstążki są bardzo rozmaite, kolor ich jaskrawy, można powiedzieć krzyczący, odpowiada zupełnie nowym taftom, grosdenapłom, fulardom, pekinom i kameleonom, które co dzień się pojawiają. Pióra i inne wystroje kapeluszy stósować się muszą do wstążek. I dla tego widzimy pióra Janusowe, t. j. farbowane strusie pióra, w dwóch, trzech i czterech kolorach różnych, i wybornie wyglądają, byle niezbyt płasko leżały na kapeluszach. Oprócz tych noszą na kapeluszach liście, gałązki i owoce z pierza, bardzo kształtnie wyrobione.

Na nowych włoskich słomianych kapeluszach ujrzeliśmy girlandy Pomony, ułożone z kwiatów polnych, jagód i owoców rozmaitych. Na kapeluszach krepowych, zdobnych birintem (tak zwaną robotą pasamonową nadzwyczajnej lekkości) i kapeluszach grosdenapłowych z wystrojem szneloblondynowym, przypinają palmy z piór Fenixowych, lśniące pióra w kształcie płaczącej wierzby, kitki z piór czaplich i t. d.

Nowy krój sukien, z otwartym na przodzie stanikiem, zmniejszy liczbę szlafroczków. Łączy on elegancją sukni, z wygodą szlafroczków. Suknia z otwartym stanikiem, czy to gładka, sznurowana, lub też z wyłogami, jednem słowem ze stanikiem Leszczyńskiej, zastępuje strojem suknię, wygodą szlafroczek, kilka więc celów w sobie łączy.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz z atlasu różowego, z zasłoną koronkową i piórami różowemi; suknia z czarnego lampas-pekinu, ozdobiona wstążką fałdowaną. Szal z czerwonego kaszemiru, jedwabiem haftowanego.
2. Kapelusz z białego poult de soie z lilijowemi piórami. Chusteczka muślinowa, koronką oszyta. Suknia z taftu kameleonowego.